

**Od małego chciałem zdobyć Moskwę. Zawsze były jednak z tym jakieś problemy. A to człek był za młody, nie należał do partii, potem konieczność zdobycia wizy, innym razem brak towarzyszy podróży zainteresowanych odwiedzeniem tego miasta, albo też napięta sytuacja polityczna między naszymi krajami. Jednak ileż można czekać, szukać wymówek, by odwiedzić największe miasto Europy.**

Okazja sama się nadarzyła. W styczniu 2012 goda kupiłem tanie bilety w ramach Szalonej Środy w LOT za niecałe 300 zł w obie strony na trasie Warszawa-Moskwa-Warszawa. W lutym zarezerwowałem sobie nocleg w 1st Arbat Hostel, za co zapłaciłem ok. 300 zł za 4 doby w pokoju 4-osobowym. W marcu zacząłem załatwiać sobie wizę, za co wyszło ok. 250 zł wraz z ubezpieczeniem i przesyłką kurierską. Jadę sam, nie oglądając się na innych, bo tak to pewnie bym czekał kolejne lata.

Tuż po polskich Świątach Wielkanocnych wylądowałem na lotnisku Szeremietiewo w Moskwie. Po przestawieniu zegarka o dwie godziny do przodu, okazało się, że jest już tu prawie wieczór, choć słońce jeszcze było dość wysoko na niebie. Służby celne skrupulatnie prześwietlały każdego gościa z Europy i jego bagaż, wnikliwie wpatrując się w karty wjazdowe, które nam rozdano do wypełnienia już na pokładzie samolotu. Nie za bardzo wiedzieli, co to za karabin wiozę ze sobą patrząc na podglądzie na znajdujący się w moim plecaku statyw do aparatu fotograficznego. Tłumacząc co to jest, szukałem odpowiedniego słowa po rosyjsku, bo angielskie triple, nic im nie mówiło. Na szczęście statyw to po rosyjsku statiw, więc gdy palnąłem po polsku w końcu to słowo, dano mi spokój. Nauczyło mnie to, że nie znając rosyjskiego wyrazu, warto spróbować czegoś z polskiego słownika, a nuż się uda.

W lotniskowym terminalu oznaczonego literą F dziwne wydało mi się wydzielenie miejsca dla palących w pobliżu toalety, ale jakby nie było na głównej hali, gdzie dym leciał w górę i wchodził w płuca wszystkich przyjezdnych. Oczywiście tłum oferentów wszelkich usług zaatakował mnie i innych przyjezdnych przed wyjściem z terminala. Taksiarze i samozwańczy przewodnicy chcieli zarobić od kilkunastu do kilkuset Euro. Wiedziałem jednak, że lepiej się trzymać od nich z daleka.

Dojechałem do stacji metra na Riecznyj Wokzał zwykłym, miejskim autobusem linii 851 za 28 rubli, czyli jakieś 3 zł, choć podróż trwała około godziny, bo autobus zatrzymywał się na każdym przystanku po drodze. Ale coś za coś, mogłem za to na spokojnie przez okna pooglądać sobie życie na obrzeżach Moskwy. Na przykład stada wałęsających się psów, czy smakoszy piwa na przystankach i ulicach, a i w samym autobusie pijacek z browarem w rękę to nic dziwnego. Ciekawie też wyglądały w cyrylicy nazwy znanych marek hipermarketów mijanych po drodze. Nad nimi górowały szarawe blokowiska i burawa architektura.

Za to metro w Moskwie to coś niesamowitego. Jak na 10 milionowe miasto te kilkanaście linii pozwala dotrzeć do większości najważniejszych miejsc bez żadnych problemów, czekając często nie dłużej niż minutę. Dzięki linii tzw. Kolco (koło) można objeździć miasto dosłownie w kółko na jednym bilecie za jakieś 3 zł. Warto wysiąść na kilku stacjach, choćby po to by je same podziwiać. Na stacji Płoszczad Rewolucji uwagę przyciągają rzeźby 76 rewolucjonistów. Pocieranie pyska psa, druha jednego z żołdatów to stały rytuał moskwiczan podróżujących metrem. Ma to zapewne przynieść szczęście na cały dzień. Stacja Majakowskaja i Kijewskaja są bogata w mozaiki, oczywiście z socjalistycznymi motywami. Z kolei stacja Nowokuznieckaja ozdobiona jest w propagandowe płaskorzeźby. Przepiękne witraże można za to podziwiać na stacji Nowosłabodskaja. Ale na mnie największe wrażenie zrobiła stacja Komsomolskaja z ozdobnymi żyrandolami, filarami i zdobnymi detalami jak w pałacu.

Hostelu musiałem jednak trochę poszukać. Według mojego wcześniejszego rozeznania powinien być niedaleko Placu Czerwonego, jednak tuż przed wyjazdem dowiedziałem się z odpowiedzi na moje zapytanie mailem do hostelu, że mieści się zupełnie gdzie indziej niż to było pokazane na mapie Google w serwisie boobooking.com, na którym rezerwowałem nocleg. Zmierzałem więc na stację metra Smolenskaja. Hostel miał być minutę drogi od niej. Nie był. A właściwie był tylko, że ulica na zakupionej na stacji metra mapie Moskwy nazywała się inaczej. Nikt też z napotkanych nie wiedział gdzie się też on mieści, nawet po podaniu dokładnego adresu. W Googlach główna ulica przy stacji metra miała się nazywać Novinskij Bulvar, a w rzeczywistości to była Smolenskaja. Miłe było gdy zatrzymał się pewien Włoch i zagadnął po angielsku czy nie potrzebuję pomocy, widząc mnie wpatzonego w mapę, dźwigającego duży plecak i błędnie rozglądającego się na lewo i prawo. Okazało się, że jego biuro mieści się przy Novinskij Bulvar 8, więc ja szukając numeru 1/2 jestem już prawie u celu. On jednak nie wie gdzie to jest mimo, że pracuje tutaj już dwa lata. Okazało się, że to po drugiej stronie drogi, ale by tam przejść przez bulwar, który jest kilkupasmową ulicą jak większość prospektów w Moskwie, musiałem najpierw znaleźć nieoznaczone podziemne przejście. Wot takie pierwyje pierepałki.

Przywitała mnie Wiera, która nie znała angielskiego, więc musiałem sobie przypomnieć mowę Gogola ze szkolnych czasów. W kolejne dni, jak się okazało, gaworzenie po rosyjsku i znajomość przez mnie cyrylicy okazały się bardzo przydatne. Hostele nie zajmują się rejestracją cudzoziemców, więc obawiałem się, że stracę sporo czasu na próbach dopełnienia tego obowiązku. Na szczęście prawo się od nowego roku zmieniło na lepsze i pobytu do 7 dni nie trzeba już nigdzie zgłaszać.

Było już dość późno, a w pokoju nikogo nie zastałem, więc rzuciłem plecak i udałem się na wieczorny spacer po Placu Czerwonym z aparatem

fotograficznym i z trudem przewiezionym przez granicę statywem. Dojechałem tam metrem pod Bibliotekę im. Lenina, kupując wcześniej 20-przejazdowy bilet za 530 rubli, czyli jakieś 50 zł. Spacerując po ulicach, zmierzając w kierunku Kremla, nie trudno zauważyć dość często spotykanych policyjnych patroli, które tutaj chadzają czwórkami, a nie jak u nas w parach. Nie wiem czy dzięki temu mieszkańcy czują się bezpieczniej, czy się stresują. Raczej to drugie, choć dla mnie to był tylko taki lokalny folklor.

Czerwone mury Kremla robią wrażenie. Przed wejściem na Plac Czerwony stoi piękne Muzeum Historyczne, z czerwonej cegły, a jakże, choć podobno nazwa tego reprezentacyjnego placu nie ma nic wspólnego z komunizmem i kojarzonym z nim słowem krasnyj, ale odnosi się do podobnego słowa krasiwyj, co znaczy piękny. Obecnie to jednakże oficjalnie Krasnaja Płoszczad, choć dość Krasiwaja.

W środę wieczorem na samym placu nie było zbyt wielu ludzi, co mnie ucieszyło, bo mogłem spokojnie porobić sobie zdjęcia na statywie, bez wzbudzania zbędnego zainteresowania. Nie obyło się jednak bez zrobienia wspólnej fotki z niejakim Bułatem z Kazania, który się czaił na mnie, gdyż jak wyjaśniał, był w Moskwie tylko ten jeden dzień i nie miał aparatu, a chciał mieć fotograficzną pamiątkę. Nie ma problemu. Dawaj. Stawaj. Zerkaj. Wot i masz. Posyłaj mienia na maila. Charaszo. Spasiba.

Baszty Kremla, Mauzoleum Lenina i po drugiej stronie placu oświetlony GUM, czyli Główny Dom Towarowy wyglądały okazale. Najpiękniejszy jednak jest Chram Błogosławionego Wasyla, czyli Sobór Pokrowski, z kolorowymi kopułami. To według mnie architektoniczna perełka Moskwy. Przed cerkwią stoi pomnik kupca Minina i kniazia Pożarskiego, którzy zasłużyli się wzniesieniem buntu przeciwko Polakom, doprowadzając tym samym do wypędzenia lackich wojsk ze stolicy Rosji.

Powrót do hostelu odbyłem na piechotę przez Plac Maneżowy, zerkając na nocne iluminacje hoteli Moskwa i Metropol, kierując się na ulubioną ulicę nie tylko Bułata Okudźawy, Stary Arbat. Jakoś niewielu spacerowiczów na niej było o tej porze, choć nie wybiła jeszcze 10.00 wieczorem, według czasu moskiewskiego. Wstąpiłem więc do taniej, smacznej restauracji My My, czyli Mu Mu przed którą stała dorodna, plastikowa krowa przywiązana łańcuchem do latarni nocnej. To samoobsługowy lokal z dobrym, rosyjskim jedzeniem. Jest w czym wybierać. Czeburki, pielmieni, pirożki, krabowe sałatki, wkusnyj czernoj chlieb, zupa soljanka, ribka, griby i szto ty chociaż. Nie pozwalają jednak zrobić zdjęć tym smakołykom. Za kolację full wypas z piwem zapłaciłem niecałe 500 rubli, co wychodzi około 50 zł. Jak na Moskwę to ponoć niedrogo.

Syty, ruszyłem dalej, w kierunku hostelu. W pokoju byli już moi

współmieszkańcy, czyli Elena z Kaliningradu, Dulnas z Tatarstanu i skryty w sobie Dima, który nie wiem skąd pochodził, bo się cały czas wpatrywał w swoją komórkę. Natomiast ja z młodymi Rosjankami od razu znalazłem wspólny język i pogaworzyliśmy sobie do późnej nocy, umawiając się na kosztowanie wina i kolejne rozgawory następnego wieczora. Spakowanej noczi usłyszałem na dobranoc, co mi jakoś znajomo zabrzmiało.

Rankiem okazało się, że nasz pokój jest przechodnim do kolejnego, z którego wyłonił się młody Japończyk. Yuta za rubla nie znał ni słowa po rosyjsku i wyglądał na zagubionego. Gdy go zagadnąłem po angielsku, uśmiechnął się tak szeroko, że jego oczy zniknęły z twarzy. Dowiedziałem się, że jest kucharzem, który jeździ po Europie szukając ciekawych przepisów i poznając narodowe kuchnie. Był już w Paryżu i Berlinie, teraz jest w Moskwie, a wybiera się do Rzymu. Zaprosiłem go do Polski, ale nie był zbyt przekonany. Miałem kolejne 2 dni, by go do tego zachęcić opowiadając mu o naszej znakomitej kuchni, schabowym z kapustą i ziemniakami, pierogach z mięsem, kiełbasie i kanapkach.

Niestety w międzyczasie pogoda się popsowała, było zimno i mżyło za oknem. Cóż, w Moskwie w taki pochmurny dzień można pojeździć metrem i udać się do muzeów i galerii, no i oczywiście można odwiedzić Mauzoleum Lenina. Zdecydowałem się sprawdzić jak się miewa bohater komunizmu. Wiedziałem, że można go zobaczyć jedynie w parzyste dni tygodnia, więc czwartek był jak znalazł. Za oglądanie wodza nic się nie płaci, trzeba tylko postać trochę w kolejce i zostawić bagaż, aparat i telefon w przechowalni. W godzinach wizyt 10-13.00 Plac Czerwony jest grodzony barierkami, co nie znaczy że nie można na niego wejść, ale jest to możliwe od strony Bramy Zmartwychwstania, a nie Muzeum Historycznego. Zatem wszedłem do kolejki i krok po kroku zmierzałem wraz a grupą amerykańskich, młodych turystów w kierunku Mauzoleum. Patrząc na Amerykanów widać było, że dla nich to tylko show, co wyraźnie irytowało żołnierzy strzegących ciała Lenina jak świętej relikwii. Wewnątrz Mauzoleum żołnierze w wielkich czapach, cicho poganiali każdego, by nie zatrzymywał się na dłużej przy szybie, za którą kryło się zabalsamowane ciało wodza rewolucji. Czemu nie pochowano go w grobie, co było jego ostatnią wolą, tego nie wie nikt. W drodze do wyjścia na Plac Czerwony przechodziliśmy koło Alei Zasłużonych, pod murami Kremla, gdzie znajdowały się mogiły pierwszych sekretarzy partii, w tym zwyczajny postument Stalina, który miał ponoć leżeć obok swojego poprzednika Lenina, ale jakoś tak wyszło, że nie doświadczył tego zaszczytu.

Chciałem tego dnia zobaczyć też Pałac Triumfalny mierzący 264,5 m, najwyższy budynek w Europie, mieszczący się według informacji z netu koło zielonej stacji metra Sokol. Jednak zapytani o niego Rosjanie na Sokole nie wiedzieli o co chodzi. Wskazywali jedynie na apartamentowiec, jedną z „sióstr Stalina”, który z daleka wyglądał

jakby miał może zaledwie ze sto metrów.

Na resztę tego posępnego dnia wybrałem Trietiakowską Galerię, ze zbiorami malarstwa rosyjskiego oraz Muzeum Sztuki im. Puszkina, znajdujące się w pobliżu Chramu Chrystusa Zbawiciela, siedziby prawosławnego patriarchy Moskwy i Wszechrusi, gdzie w podziemiach zwiedziłem wystawę pięknie zdobionych ikon, z pereł i złota. Dostałem tam kalendarz prawosławny na 2012 rok ze zdjęciami wszystkich patriarchów cerkwi z całego świata. Patrząc na brodate głowy, rozumiałem co znaczy słowo kacap od kak cap, czyli jak kozioł. Te kozie brody mogły rozbawić niejednego heretyka.

Z kolei malarstwo i rzeźby w Trietiakowskiej przedstawiały głównie cierpienia rosyjskiego ludu, w tym wielki obraz „Oblężenie Pskowa” nota bene przez polskiego króla Stefana Batorego. Wersja Matejki tego wydarzenia pokazywała naszego króla jako zwycięzcę, choć w rzeczywistości nigdy on nie zdobył miasta, jedynie po latach walk w ramach zawartego pokoju udało się Polsce zająć wówczas Inflanty. Oprócz obrazów i rzeźb, ciekawe też są zbiory ikon prezentowane w podziemiach galerii. Z kolei w Muzeum Sztuki im. Puszkina zebrano malarstwo zachodnie, w tym Picassa, Gaugina, Matisse’a, Renoira, Moneta, Maneta i innych. Kilka sal było niestety zamkniętych w związku ze zmianą ekspozycji, ale i tak warto było zobaczyć wiele znakomitych arcydzieł światowego malarstwa i rzeźby.

Po wyjściu z muzeum spałaszowałem zakupioną w budce przy Chramie niejaką kartoszkę, czyli nadziewanego, dużego, pieczonego ziemniaka. Smakował wybornie. Po wysiadce z metra zrobiłem zakupy w pobliżu hostelu pod jednym z tzw. pałaców kultury w 24h markecie Siódmy Kontynent. Wino, kwas, krabowe paluszki, kawior, czarny chleb i masło krabowe wystarczyć miały na kolację z moimi współmieszkańcami w hostelu. Jak się okazało największym smakoszem tych specjałów był Yuta, który odwdzieczył mi się za to jakąś japońską łyżką z plastikowym rosołkiem, ponoć bardzo popularnym gadżetem dla wielbicieli Mangi, Anime i kultury kraju kwitnącej wiśni. Powiedziałem: Arigato, na co odwzajemnił się ukłonem. Po jakimś czasie dołączył do nas Dima z Uzbekistanu, który nie był zwolennikiem rosyjskiego wina, tylko szkockiej whisky. Kuszaliśmy i piliśmy zatem za międzuradnoję drużbu, rozmawiając o wsjem i o niczem. Yuta nie doczekał. Padł.

Piątek 13-tego przywitał nas deszczem. Ludzie w metrze zjeżdżający w dół wyglądali jak figury wojskowe. Zauważyłem też, że trzeba uważać przy wyjściu ze stacji metra, gdyż ciężkie drewniane, obite metalem drzwi jak w saloonie mogą mocno odbić. O mało co nie zniszczyłem sobie w ten sposób aparatu zawieszzonego na szyi. Co ciekawe w samym metrze co parę minut leci komunikat o byciu wrażliwym i ustępowaniu miejsca starszym, inwalidom i kobietom w ciąży, tak jakby nikt o tym nie

wiedział.

Postanowiłem tego dnia zwiedzić Kreml od środka. Podręczny plecak musiałem zostawić w przechowalni, za to można było zabrać aparat, ale zdjęcia wewnątrz wszystkich cerkwi były zabronione. Swoją drogą zadawałem sobie pytanie po co tyle świątyń obok siebie w jednym miejscu. Każda stawiana była zapewne na czyjaś cześć, albo każdy car chciał mieć swoją. Zrobiłem parę fotek na dziedzińcu i...rozładowała mi się bateria. Miałem zapasową, ale w plecaku, który zostawiłem w pakamerze. No i zaczęło się pechowo...Ciekawe co będzie dalej. W jednym z chramów z grobowcami carów, chciałem zobaczyć widniejącą na otrzymanej mapce mogiłę Iwana Groźnego. Niestety ponoć jest schowana za okazałym ikonostasem. Na zewnątrz uwagę zwraca oprócz wysokiej dzwonnicy i kopuł cerkwi, olbrzymia puszka (armata) i dzwoniszcze. Natomiast budynki prezydenckie są niedostępne do zwiedzania. Jedynie za dodatkową opłatą można obejrzeć zbrojownię.

Od Leny dowiedziałem się, że warto zajrzeć do Centralnego Domu Hudoźnika (artysty) i planetarium. Było chłodno, ale przestało padać, więc udałem się do CDH na piechotę. Idąc koło Chramu na moście spotkałem młodego studenta, który beztrudno spacerował sobie z łasicą na smyczy. Nie omieszkałem go zagadnąć i zrobić zdjęcie jak całuje swojego druha o imieniu Eko. Kupił go dla swej dziewczyny, ale to on go wyprowadza na spacer, przyciągając o ironio uwagę innych dziewczyn.

W CDH były akurat Targi Reklamy i Designu, ale biletów już nie było w sprzedaży tego dnia. Popatrzyłem sobie zatem na nijaki budynek z zewnątrz. Na szczęście obok, nad brzegiem rzeki stał olbrzymi, ciekawy postument Piotra I wpatrującego się ze statku w morze. Ponoć ta gigantyczna rzeźba miała być podarowana Amerykanom jak paryska Statua Wolności. Gdy go jednak jankesi zobaczyli, to najpierw się zgodzili myśląc, że to Kolumb może, ale gdy się okazał rosyjskim carem to nie przyjęli takiego prezentu. Zatem dumny kapitan wielkiego okrętu symbolizującego Rosję, stoi sobie nad rzeką wpatrując się w Centralny Dom Hudoźnika właśnie.

Po drugiej stronie ulicy od CDH można dostrzec bramę podobną do Brandenburskiej, będącą wejściem do Parku Kultury im. Gorkiego. Dżdżysta pogoda nie zachęcała jednak do spacerów parkowymi alejkami. Pojechałem zatem metrem do planetarium. Obok stacji Barikadnaja stoi kolejna z „Siedmiu sióstr Stalina” czyli wysokościowiec przypominający nasz Pałac Kultury w Warszawie. Planetarium znajduje się obok ogrodu zoologicznego, ale ku mojemu zdziwieniu kasy koło godziny 16.00 już były zamknięte mimo, iż zwiedzanie możliwe było nawet do 21.00. Jakoś mnie to nie za bardzo zdziwiło jak na taki pechowy dzień. I jak tu nie być przesadnym.

Postanowiłem wcześniej wrócić do hostelu i poznać się z kolejnymi drugami. To był dobry pomysł. Siedzieliśmy sobie przy Smirnowie z moskiewskiej destylarni (nie Smirnoffie) i rozmawialiśmy o polityce, sztuce i filozofii. Uczyliśmy także pić wódkę naszego japońskiego towarzysza, który niestety miał strasznie słabą głowę, bo po dwóch kolejkach poszedł spać z wypiekami na twarzy, twierdząc, że sake jest przy tym jak sok. Kontynuowaliśmy zatem bez niego. Od Timura z Kazachstanu dowiedziałem się, że nie będziemy pić tym razem za Uzbekistan, bo tam jest reżim, więc mój toast za ten kraj, wzniesiony by zrobić uprzejmość Uzbekowi Dimie jest nie na miejscu. Nie oponowałem. Dima też nie. Zawsze można i trzeba wypić za międzynarodowej drużbu. Gdy dopijaliśmy resztki i szykowaliśmy się do snu, dołączyły do nas dwie krasiwyje dziewczuszki, jak się okazało studentki z Kazania i Nowogrodu. Jedna uczyła się filozofii, druga studiowała sztukę. Mieliśmy zatem o czym gawarit do białego rana.

W sobotę żegnaliśmy się z pogodną Dulnas, przyjazną Leną i skrytym, skromnym Rosjaninem Dimą z mojego pokoju. Opuszczał nas także Japończyk Yuta, któremu przed wyjazdem pokazałem moje miasto Kielce w internecie zapraszając do przyjazdu. Dodaliśmy się do znajomych na Facebooku, podobnie jak z Leną z Kaliningradu. Reszta Rosjan i obywateli byłych republik sowieckich nie korzystała jeszcze z portali społecznościowych. Nowymi lokatorami w mojej komnacie została para z Nowosybirsk. Początkujący biznesmeni rodem z Amwaya. Tak naprawdę Anton był szachtarem (górnikiem) w kopalni, a jego połowica na bezrobociu. Za ciężko zarobione przez Antona pieniądze przyjechali na pierwsze, seminarium motywacyjne do Moskwy. Gośćmi specjalnymi byli jacyś Japończycy, którzy popularyzowali networking w Rosji, tak jak u nas 15 lat temu Węgrzy. Nie chciałem im odbierać marzeń o wielkich pieniądzach za proszki ze 100% gwarancją satysfakcji klienta. Umówiliśmy się za to z Antonem na wieczór na kieliszek i ruszyłem na miasto.

Dzień był pogodniejszy więc ruszyłem chyżo ponownie na Plac Czerwony, by zobaczyć co się tam dzieje za dnia. To była sobota przed paschą, czyli Wielkanocą. Sporo ludzi się przechadzało po placu wokół Kremla. Można było sobie nawet zrobić fotki z sobowtórami Lenina i Putina. Zauważyłem, że na mosiężnej płycie w chodniku przed Bramą Zmartwychwstania ludzie stają i rzucają za siebie monety na szczęście, które zamiast wpadać do wody, trafiały wprost do rąk żebraków wnikliwie wybierających od razu z trotuaru każdy nawet najmniejszy rublik. Co dziwne, mimo że ich było kilku umieli się pogodzić, podchodząc po kolei po swoje, tak jak po kolei podchodzili turyści by odprawić ten ceremoniał.

Nie do końca jasna była dla mnie za to akcja pod Grobem Nieznanego Żołnierza. Turystów od płonącego ognia i symbolicznej mogiły odgradzały niskie łańcuchy i sześciany z wrytymi nazwami miejsc walk.

Nagle w kierunku grobowca poza barierkami żwawo zmierzał krępy gość o jednej kuli. Młody żołdat pełniący wartę zaczął na niego gwizdać, po czym inwalida włożył kule pod pachę i swobodnie zaczął iść do żołnierza. Wyglądało to na prowokację, albo raczej test czujności. Agent tłumaczył coś zdecydowanie skruszonemu wartownikowi, prawdopodobnie zbierającemu cięgi za to, że zbyt późno zareagował.

Zaczęło się pokazywać słońce, postanowiłem więc wybrać się poza miasto. Pojechałem najpierw zobaczyć Kolomenskij Dworec i muzeum architektury drewnianej pod egidą UNESCO. Zaskoczyła mnie tam kilkusetmetrowa kolejka osób czekających na święcenie przyniesionych pokarmów do cerkwi. Widziałem w necie zdjęcia pięknego, drewnianego dworu, ale niestety to była tylko wizualizacja, bo w rzeczywistości zostało po nim tylko kilkanaście czarnych bali. Nie mam pojęcia czy mają zamiar go odbudować, choć przy alejce wisiał baner z ową wizualizacją właśnie. Poza tą ciekawostką jest to raczej miejsce na spacer w cieplejsze dni.

Może w Carycynie będzie ciekawiej. Kilka stacji metrem dalej i już jestem przed moskiewskim „Wersalem”. Na wejściu do parku obowiązkowa kontrola policji może trochę dziwić, ale nie samych Rosjan, dla których to normalna procedura. Obszar samego parku i wyzierające zza chmur słońce przyciągnęły tu spore rzesze spacerowiczów. Oczywiście też spora kolejka ustawiła się do święcenia przed cerkwią. Staw parkowy cały był jeszcze pokryty lodem, na którym wysiadawali wędkarze, oczekujący połowu jakiejś rybki na święta. Przed rzeźbami architektów pałacu nowożeńcy robili sobie okolicznościowe zdjęcia robiąc przy tym niezły harmider. Sam pałac był zamknięty, ale za to w nowoczesnym, szklanym budynku obok czynne było muzeum. Generalnie, to także miejsce raczej na letnie spacer, choć gdy słońce zaczęło troszkę bardziej przyświecać postanowiłem ułożyć się na ławce i łapać promienie uaktywniające witaminę D w moim organizmie. Niestety policja szybko mi wybiła ten sposób relaksu z głowy, twierdząc, że leżenie jest zabronione, bo ławki parkowe są wyłącznie do siedzenia. Zauważyłem też, że ci sami policjanci legitymowali później nielicznych drobnych handlarzy, próbujących sprzedać przechodnią Biblię czy też świąteczne ozdoby. Strach się bać.

Popołudniem udałem się jeszcze pod Uniwersytet im. Łomonosowa, chyba najpiękniejszej z „Siedmiu sióstr Stalina”, za którym jest punkt widokowy "Worobjowy gory", skąd można popatrzeć na miasto. Ciekawy widok roztacza się na stadion Łuźniki i Business City. Na placu widokowym można kupić pamiątki z Moskwy, na pewno ze trzy razy taniej niż na lotnisku. Koniecznie trzeba się targować, choć z Rosjanami to nie taka łatwa sprawa, wymiękają dopiero po odejściu od straganu. Polecam ozdobne skrzyneczki, matrioszki i drewniane skarbonki w kształcie jabłek, wszystko bogato, kolorowo zdobione i ręcznie wykonane. W pobliżu można kupić smaczne kartoszki i serowe paluszki



oraz tak jak wszędzie w Moskwie, w każdej ulicznej budce powszechne jest piwo i cigarety. Browar Bałtika i Syberska Korona są jedne z lepszych.

Wieczorem spacerowałem jeszcze wokół Teatru Bolszoi (Wielki), zerkając na pomnik Marksa i szary budynek Dumy Państwowej, znajdujące się w pobliżu. Znow po zmroku mogłem popatrzeć na mury Kremla, przysiadając na ławce z piwką w rękę, jak większość moskwičan szykujących się do świąt paschy.

W hostelu powitali mnie moji przyjaciele: Uzbek Dima, Kazach Timur, Rosjanin Andriej i szachtar Anton z doskoku, bo jego ulubiona dziewczynka miała mu za złe, że ciągnie go do wódki. Rosjanie nie dali nam zakąsać ani popijać, twierdząc, że to nie przystoi prawdziwym mężczyznom, tak więc ogórka zamiast zjeść można było jedynie powąchać, a na zielonkawy tarchun - dość ożywczy napój z jakiejś trawy można było tylko popatrzeć. Międzynarodowa przyjaźń urosła w siłę tego wieczora na długie lata.

Jołki połki, czyli ojejku jak mnie boli głowa. Rankiem nie reagowałem na pożegnalne słowa wyjeżdżającego Antona i jego rozeźloną dziewczynkę. W przeciwieństwie do przyjaźni, ja straciłem wszelkie siły po ostatniej nocy. Na szczęście samolot miałem dopiero o dziewiątej wieczorem. W południe obudził mnie jednak administrator twierdząc, że pora się wymeldować. Po bólach zwlokłem się z łóżka jak jakiś worek i powłuczając nogami udałem się do toalety. Dopiero zimny prysznic trochę postawił mnie na nogi. Spakowałem się i zdeponowałem plecak w hostelu udając się na Wielkanocne śniadanie na miasto, choć właściwie to już była pora lunchu. Potem podjechałem jeszcze metrem do Business City i spacerkiem wzdłuż rzeki Moskwy wróciłem do hostelu po swój bagaż. Po drodze mogłem jeszcze zobaczyć kolejne „dwie siostry Stalina”, a mianowicie Hotel Ukraina i budynek MSZ oraz tzw. Biały Dom.

Ze względu na pogodę i słabe samopoczucie po wieczornych rozgaworach nie udało mi się zobaczyć ВДНХa (ВДНХ), czyli terenu Wystawy Osiągnięć Gospodarki Narodowej ze znaną fontanną, Parku Sokolniki czy pałacu Kuskowo. Zapewne też warte odwiedzenia byłyby klasztor i cmentarz Nowodziewiczy oraz klasztor Danilowski. Może innym razem.

Na lotnisku po przejściu 3 kontroli bagażu i tłumaczeniu się z karabinu-statywu dostałem się w końcu na pokład samolotu. Wystartowaliśmy o 9 wieczorem i po dwóch godzinach lotu byliśmy w Warszawie o...9 wieczorem. To oczywiście na skutek przestawienia czasu o dwie godziny wstecz. Wot takie jołki połki.